

# Wojciech Sadowski

---

## Wspomnienia z Seminarium : w szkole spokoju, radości i rozterek

---

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 13, 189-194

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Wojciech Sadowski**

Jenin

## **Wspomnienia z Seminarium. W szkole spokoju, radości i rozterek**

Dnia 1 września 1953 roku, pożegnawszy dom przy ul. Koniawskiej 2a, opuściłem Zakanale. Przekroczyłem betonowy most na Uldze Warty, a następnie na samej Warcie, poza którą rzadko chodziłem. Wkroczyłem do secesyjnego budynku Małego Seminarium Duchownego przy ul. Łokietka 16 w Gorzowie. Za jego ciężkimi drzwiami panował spokój i nie sięgał już zgiełk szkoły Towarzystwa Przyjaciół Dzieci rządzonej przez Karola Hermeę prześladowającego mnie za służenie do mszy. Przede mną otworzył się świat, o którym marzyłem i o który modliłem się niemal każdego dnia. Nadal byłem sierotą, lecz sierotą mającą opiekę i spokój. Zmieniłem świat. Wstępowałem do niego z radością serca. Czułem skutki swoich próśb zanoszonych do Boga. Wiedziałem, iż dzień ten zmienił moje życie, stał się znaczącą cezurą. Był to dzień o życiowym znaczeniu. Dzień ucieczki od życia dziecka doświadczonego wojną, dziecka które nie mogło zapomnieć błysku wystrzału z pistoletu przyłożonego do skroni matki trzymającej syna na rękę, chłopca gnanego przed pierwszym szeregiem „radzieckich bajcow” na okopy niemieckie jako tarcza, chłopca głodnego, obdarowywanego przez żołnierzy niemieckich zatrutymi cukierkami, które należało sprytnie wyrzucić, gdy wermachtowiec obrócił się tyłem.

Pozytywne wyniki egzaminu wstępnego pozwoliły mi na wejście do wymarzonego zakładu nauczającego i opiekuńczego. Za niewielką opłatę wnoszoną przez ojca miałem przysłowiowy „wikt i opierunek”. Był to więc powrót do ufności w ludzi, znak opieki Boga. Z dumą mogłem założyć granatową czapkę z biało-żółtym otokiem, z niecierpliwością czekałem na ferie Bożego Narodzenia, aby móc paradować w niej z domu do kościoła Chrystusa Króla. Uważałem się za chłopca znającego prawdę w przeciwieństwie do rówieśników z innych liceów. Unikałem urządzanych przez nich prywatki i potańcówek. Stroniłem od koleżanek usiłujących namówić na spotkanie, które w tym czasie określano „stykami”. Unikałem czynów, które mogły mnie zdyskredytować w oczach ojca duchownego ks. Wiktora Paneckiego, choć wysłuchiwał on relacji z ferii i wakacji z wyrozumiałością. Wśród alumnów instytucja ojca duchownego różne miała opinie. Jedni twierdzili, że jest to rodzaj spowiedzi, a inni, że zwierzenia poczynione przed Wiktorem wykorzystywane są przez ks. rektora Jana Wujdę. Osobiście uważałem, że księdza nie wolno okłamywać, aby nie popełnić grzechu. Na trzecim kursie postawę taką uważałem za przesadną. Stało się tak dzięki pewnemu niemiłemu zdarzeniu. Pytania zadawane przez ojca duchownego były tak formułowane, że odnosiłem wrażenie, iż znał on moje czyny wcześniej, że był już poinformowany o moim zachowaniu poza bramą Seminarium. Być może i tak było. Proboszcz parafii obowiązany był bowiem do dostarczenia opinii po każdych wakacjach i feriach. Serdeczne traktowanie alumna ujmowało za serce. W trakcie rozmowy słowa ks. Wiktora były proste, poważne i łagodne a jednocześnie pełne siły. Z rozmowy takiej wychodziłem w przekonaniu, że ks. Panecki jest wyłącznie moim przyjacielem. Dopiero na trzecim kursie (w 10 klasie) zorientowałem się, że oj-

ciec duchowny traktuje wszystkich jednakowo, a jego wskazania dla wszystkich są jednakowe, niemal sztamkowe. Działy one jednak na większość alumnów tak samo jak i na mnie. Dyscyplinowały one nas bardziej niż zdecydowane i srogie decyzje ks. rektora Jana Wujdy. Dyrektywy rektora tchnęły wprawdzie dobrocią, ale też bardzo często były gniewne, jeżeli nie złośliwe. Uznanie księdza rektora zdobywali chłopcy wykazujący się zamiłowaniem do sportu i muzyki. Prawdziwy wstyd ogarnął nas, gdy ks. Wiktor przyłapał paru chłopców podglądających poprzez okienko na strychu pielęgniarki szykując się do snu. Internat pańienek był *vis a vis* budynku naszej uczelni. Ojciec duchowny walczył z naszymi pożądaniami młodzieńczymi, prowadząc indywidualne rozmowy na temat roli seksu w życiu człowieka, organizując dni skupienia oraz rekolekcje, podczas których obowiązywała nas absolutna cisza.



*Orkiestra dęta Niższego Seminarium Duchownego. Odpust w Siedlisku Czarnkowskim (7 X 1956)*

Ks. Wujda był pasjonatem pływania i siatkówki. Bardzo często powiadał, iż „sport jednoczy z Bogiem, odbierając szatanowi czas pokuszenia” (cytat z pamięci). Członków seminaryjnej orkiestry dętej zachęcał do ćwiczeń powiedzeniem: „umożliwiamy aniołom wypoczynek, ponieważ Bóg Ojciec słucha w tej chwili nas” (cytat z pamięci). Monologował też, że „muzyką krzepi się ludzka dusza, skazana na walkę z grzechem” (cytat z pamięci). Z zapalem więc oddawałem się ćwiczeniom muzycznym na tubie basowej oraz pianinie. Podczas wakacji uwielbiałem grać na organach w gorzowskim kościele Chrystusa Króla. Pewnego razu ks. kapelmistrz Wujda zagrał na pianinie urywek Bacha, pytając mnie, co zagrał? Ponieważ nie wiedziałem, co zagrał, więc palnąłem, iż była to wariacja (parafraza). Oburzony dyrygent chwycił batutę, aby mnie „przeciągnąć” nią po grzbiecie. Rozpoczęła się gonitwa schodami z salki ćwiczeń na pierwszym piętrze poprzez sypialnię na trzeciej kondygnacji. Po wykonaniu kilku rund zabawę przerwał „kwestia” jak nazywaliśmy ks. prefekta Mieczysława Marszałika. Wynurzył się ze swej kancelarii dość gwałtownie wywabiony niespotykanym w tej szkole hałasem. Zdyszany

rektor poinformował prefekta, że było to ćwiczenie wzmacniające płuca i polecił mi udać się do sali ćwiczeń orkiestry i grać na tubie. W rzeczywistości była to indywidualna karna wprawka muzyczna. Zajęcie to trwało blisko godzinę. Przerwał je dobrotliwy, lecz konsekwentny ks. Mieczysław. W radości serca ucałowałem go w rękę, czym mój wybawiciel był bardzo zaskoczony i nie zdołał wygłosić swego stereotypowego powiedzenia: „kwestia jest taka, iż nikt ciebie nie zmusza do pobytu w seminarium”. Był to rodzaj groźby, a zarazem przywołania do oczekiwanego przez wychowawców postępowania. Ks. prefekt wszelkie swoje uwagi, nawet te najgroźniejsze, słodził łagodnym uśmiechem Giocondy. Uczył nas w ten sposób, jak mamy postępować w przyszłości. Zadaniem ks. Marszałika było też nauczanie religii oraz etyki i dogmatyki. Przy tej okazji skutecznie poskramiał nasze wybryki i uspokajał serca. Tonował naszą niecierpliwość i porywczosć. W lekcjach tych nie było wycieczek przeciw sprawcom ekscesów. Chęć taka była jednak widoczna. Im bardziej nad sobą panował, tym mocniej oddziaływał na nasze umysły i serca.

Gabinet prefekta znajdował się na pierwszym piętrze i to w takim miejscu, iż jego lokator mógł spełniać funkcję pelengatora budynku. Kontrolował każde przejście alumna, nawet jeżeli któryś z nich usiłował prześliznąć się na palcach. Nikt nie mógł wymknąć się z pomieszczenia lekcyjnego podczas tak zwanej „nauki własnej”. Był to czas bezwzględnej ciszy w budynku. Każdy siedział w klasie, w swojej ławce i uczył się lub odrabiał zadanie domowe. Osobiście najwięcej czasu poświęcałem „wkuwaniu” słówek łacińskich i greckich. Gramatyka tych języków była moją zmorą, a ich wykładowca prof. Zbigniew Wójcik (z Uniwersytetu w Poznaniu) „katem”. Poważaniem profesora cieszyli się Marian Dźwiniel i Ludwik Solecki. Ten ostatni łącinę miał tak „wkuć”, iż w nocy mamrotał fragmenty Petrarcki albo Owidiusza. Wmawialiśmy Ludwikowi, że przy pełni księżyca okrywa się prześcieradłem, udaje się do okna skierowanego na Kłodawkę (rzeczka) i recytuje ku przerażeniu przechodniów fragmenty *Metamorphoses*. Bezkonkurencyjnym „kujonem” był również Marcin Kędzior. Współzawodniczyli z nim Gieniu Kurzawa i Wladek Szendel, który lubił popisywać się znajomością historii i greki. Spośród kursowych kolegów znajomością filozofii imponował Eugeniusz Poliński. Dał się on poznać jako permanentny „zaczepliś” na lekcjach Zbigniewa Cierkońskiego usiłującego nauczyć nas logiki i historii filozofii. Nauczyciel ze spokojem podejmował z nim dyskusję po wyczerpaniu tematu wykładu.

Do bezwzględnego posłuszeństwa i wyjątkowej grzeczności zmuszał alumnów swą postawą sędziwy nauczyciel historii, a zarazem dyrektor naukowy Seminarium Bolesław Kudelka. Wykłady jego miały charakter pogawędek przewidujących przyszłość na podstawie przeszłości. Omawiając mocarstwowy Rzym, prorokował upadek „niehumanistycznego imperium”. Opisując szlachtę, wskazywał na pieniactwo Polaków mogące doprowadzić do klęski moralnej narodu. Prorokował nam, iż nadchodzą bardzo ciekawe czasy, w których przyjdzie nam żyć, a których on już nie doczeka. Charyzma i esprit Kudelki, nazywanego Dziadkiem, powodował, iż na lekcjach historii panował szczególnie spokój. Każdy z nas był zawsze przygotowany do odpowiedzi analizującej wydarzenie historyczne. Recytacja dat i faktów nie zadawała nauczyciela, Dziadek przez cztery lata nauki nie posługiwał się dziennikiem ani notesem, a do wystawionych ocen okresowych nigdy nie zgłaszałyśmy uwag. Zawsze były nadzwyczaj sprawiedliwe. Wypełniał On swoje zadanie nader perfekcyjnie budząc nasz podziw. Dziadek wykladał bez pomocy notatek. Mówił niemodulowanym głosem. Interpretacja faktów była autorska<sup>1</sup>. Zmuszeni więc byliśmy

<sup>1</sup> Z notatek poczynionych na wykładach prof. Bolesława Kudelki korzystałem podczas studiów budząc podziw prof. dra Czesława Łuczaka.

notować niemal każde słowo wykładu nacechowanego głębokością myśli. Pewnego dnia, a było to po dwu godzinach spędzonych na pływalni oraz przy spokojnym głosie profesora Bolesława zasnąłem. Gdy obudziłem się i głośno ziewnąłem, koledzy wybuchnęli śmiechem. Wystraszony spojrzałem na Kudelkę, który udał, że niczego nie zauważył. Po skończonym wykładzie ze spokojem i dobrotliwym uśmiechem spytał: „czy młodzieniec wystarczająco wyspał się?” i wyszedł z klasy. Tym sposobem ogromnie mnie zawstydził oraz podniósł swą powagę ponad innych wykładowców.

Przeciwieństwem prof. Kudelki była jego żona Antonina Kudelka nazywana przez alumnów Babcią. Ta pełna wielkopańskich manier oraz animuszu i entuzjazmu polonistka nauczwała nas języka polskiego i historii literatury. „Rozum ludzki – powiadała – należy kształtować przy pomocy twórczości literackiej, przy jej wsparciu przemawia do nas Bóg”. Dodawała przy tym, że „poezja objawia wdzięki języka ojczystego”. Wieszcami naszymi zachwycała się tak, jakby ich utwory pochodziły od samego Boga. „Pan Tadeusz”, „Oda do wolności”, „Kordian”, „Irydion” zdaniem jej stawiały serce u samego źródła patriotyzmu. W nauczaniu wykraczała poza ramy programu, uwzględniając utwory o tematyce religijnej i narodowej. Uczyla ballad Goethego i Schillera. Dążyła do samodzielnej pracy uczniów. Bardzo często polecała nam porównywać ze sobą poszczególne utwory twórców polskich i niemieckich.

Z sekretami nauk ścisłych zapoznawała seminarzystów Felicja Korsak, żona literata Włodzimierza Korsaka, oraz Helena Sawczyńska. Obie panie, serdecznie ze sobą zaprzyjaźnione, opisywały nam „tajemnicze siły” cyfr, chemii i astronomii. Usiływały ukazać tryby natury świadczące o mądrości ich Kreatora. Sprawę ich dzielnie wspomagał inż. Marian Perz, nauczając fizyki. Przy pomocy wzorów i praw fizycznych chronił alumnów przed przesadami. Delikatny sposób jego nauczania przemawiał do naszych rozumów i umacniał wiarę w siłę Boga. Dobitność wywodów inż. Perza i jego praktyczne przykłady jednały mu nasze uznanie.

Sprawami gospodarczymi kierował sprawnie ks. Tadeusz Brodzik. Dzięki jego staraniom nie odczuwaliśmy braków żywieniowych ani zimna. Odnosił się on do nas jak do młodszych kolegów. Często podkreślał, iż drogę do kapłaństwa rozpoczął w Małym Seminarium w Gorzowie. Ten skromny seminaryjny Ezaw (pracuś) imponował nam umiejętnościami technicznymi; umiał naprawić przeciekające rury wodne, udrożnić kanalizację oraz usunąć awarię elektryczną. Zdarzało się, że przygnębionego ucznia zapraszał do swego mieszkania na parterze, częstował słodyczami i pocieszał, opowiadając stosowną anegdotę. Pouczył mnie kiedyś, abym cenił rozumne ustępstwo, a nie bezrozumny upór połączony z poczuciem krzywdy. Księdza Tadeusza traktowaliśmy jak kolegę. Pozostał zresztą nim do końca swej ziemskiej wędrówki, której metą było probstwo w Bledzewie.

Regulaminowe i jednostajne dni alumnów urozmaicane były wizytami rządców diecezji: ks. inf. Zygmunta Szelażka, a następnie ks. bpa dra Teodora Bensch. Zjednywaliśmy sobie ich życzliwość, urządzając wieczory recytatorskie, konkursy czytelnicze, spektakle teatralne (w grudniu 1956 wystawiliśmy „Nie-boską komedię” w reżyserii Zbigniewa Cierkońskiego), jasełka. Urządzaliśmy zawody gry w siatkówkę lub pływanie. Biskup Teodor w przeciwieństwie do inf. Zygmunta był mężczyzną małym i szczupłym. Zjawienie się jego w Seminarium wywoływało podniosłą atmosferę. Niepospolite rysy jego twarzy wymuszały na chłopcach wyjątkowe zachowanie. Biskup zjednywał nas sobie, przychodząc z rezydencji na podwórko seminaryjne mostkiem przerzuconym przez Kłodawkę. Zamieniał z nami parę słów lub przez chwilę grał w siatkówkę. W trakcie



*Jasełka w Niższym Seminarium Duchownym. Pierwszy z lewej ks. Mieczysław Marszałik (1954)*

pewnego spotkania pouczył nas, by w przyszłości nie marnować życia w polityce lub zdobywaniu wartości przyziemnych. Wracając do pałacu, zatrzymał się na mostku i dorzucił, abyśmy dbali o ćwiczenia duchowe i sportowe oraz modlili się w świątyni swego serca.

Dowodem na poczynione w ciągu czterech lat postępy duchowe i naukowe był rygorystyczny egzamin dojrzałości. Spośród chłopców rozpoczynających pierwszy kurs do matury w 1957 roku dotrwało 14 osób; drugie tyle w ciągu czterech lat „odsiano”. Kolejny raz szkoła jako ognisko ogromnego naszego przeobrażenia obdarowała społeczeństwo 14 młodzieńcami ukształtowanymi moralnie i przygotowanymi do dalszych studiów zgodnie z poczynionym przez nich wyborem. Zaledwie trzech z tej liczby zostało księżmi. Pozostali poświęcili się profesji prawniczej lub naukowej. Absolwenci Diecezjalnego Seminarium Duchownego Wydział Wstępny w Gorzowie otrzymywali świadectwo dojrzałości „upoważniające do podjęcia dalszych studiów na Wydziałach Diecezjalnego Seminarium Duchownego oraz w Kościelnych Uniwersytetach”. Katolicki Uniwersytet Lubelski świadectw tych nie honorował, pomimo że w tym czasie dokonywał naboru bez egzaminów wstępnych. Należało jeszcze jeden krok uczynić i zdać „maturę państwową”. Seminarium traktowane było wrogo przez pseudokomunistów. Nieprzyjaciele nasi starali się obciąć nas na państwowych egzaminach maturalnych. Nieraz dało się słyszeć, że zostaliśmy wychowani w atmosferze zabobonu przez ludzi o ciasnych umysłach i wrogich Polsce. Kilku nauczycieli gorzowskich szkół średnich usiłowało nas obśmiać w trakcie egzaminu maturalnego. Uczelnia wyższa traktowała dawnych „kleryków” całkowicie inaczej. Często musiałem udzielać kolegom z Wydziału Historyczno-Filozoficznego oraz

Prawa korepetycji z języka łacińskiego. Zdarzało się, że współlokatorzy z akademika prosili o wyjaśnienie historii biblijnych lub zasad religijnych.



*Przedstawienie „Nie-boskiej komedii” przez uczniów Niższego Seminarium Duchownego. Na dole od lewej: ks. Mieczysław Marszałik i Zbigniew Cierkoński. Autor wspomnień stoi w trzecim rzędzie od lewej jako pierwszy (7-9 XII 1956)*

Wspomnienie swoje muszę zakończyć ze smutkiem. Przede wszystkim żałuję, iż władze komunistyczne tego typu zakład wychowawczy w roku 1960 zlikwidowały. Po drugie ubolewać należy, że wśród absolwentów Diecezjalnego Seminarium jest grupa nie poczuwająca się do wdzięczności za otrzymane tam wykształcenie i wychowanie. Jeden z nich pełniący funkcję proboszcza i obdarowany godnością prałata oświadczył wręcz, „iż Niższemu Seminarium w Gorzowie niczego nie zawdzięcza i nie chce o nim rozmawiać”. No cóż, różne bywają rodzaje pamięci i rozmaite rodzaje wdzięczności. Oby parafianie prałata wspominali jego pracę inaczej.